

Kościół otwarty czy Kościół zamknięty?

Szanowni Państwo, od pewnego czasu frapuje mnie określenie, które w rozmaitych dyskusjach o Kościele – prowadzonych, dodajmy to, w dużej mierze przez samych ludzi Kościoła – robi karierę jako swoisty termin „techniczny”, służący do rozmaitych podziałów i klasyfikacji. Chodzi mianowicie o tak zwany „Kościół otwarty”. Wiadomo skądinąd, że określenie to upodobało sobie zwłaszcza środowisko intelektualistów skupionych wokół Tygodnika Powszechnego. Cykl odbywających się regularnie spotkań byłego redaktora naczelnego „Tygodnika” ks. Adama Bonieckiego z czytelnikami zatytułowany został właśnie „Kościół otwarty”. W ramach jednego z nich pojawiła się także kwestia krytyki owego Kościoła otwartego. Otóż, jak podała „Gazeta Polska”, a za nią między innymi Państwowa Agencja Prasowa, w odpowiedzi na przywołane słowa bp. Antoniego Dydycza, że „Kościół otwarty jest martwy”, ks. Boniecki miał odpowiedzieć, że „krytyka Kościoła otwartego w Polsce wynika z lęku i pomieszania pojęć”, a jego krytycy „reprezentują ludzi wystraszonych i ich przekonania”. Dodał również, że „Kościół zamknięty jest załęczony, niepewny wiary”, w czym wtórował mu o. Maciej Zięba, podkreślając: „Załęczony, że każde naruszenie tożsamości spowoduje rozsypanie się jej i zagubienie”. Sęk w tym, że w relacji z owego spotkania, nigdzie nie znalazłem wytłumaczenia – poza wprowadzonym podziałem na Kościół otwarty i zamknięty – czym tak naprawdę oba, a przede wszystkim ów pierwszy Kościół jest. I jak dokładnie należy tę otwartość rozumieć. Zresztą, z precyzyjną definicją Kościoła otwartego jest kłopot, i jak na razie, moim zdaniem, takowa się nie pojawiła, mimo wydanego swego czasu numeru „Tygodnika Powszechnego”, poświęconego temu tematowi oraz regularnie odbywających się debat. Mogłem jednak, oczywiście, ją przeoczyć. Z tym większym więc zainteresowaniem wziąłem do ręki numer „Tygodnika”, w którym znaleźć można rozmowę o. Tomasza Dostatniego z ks. Tomaszem Halikiem, czeskim filozofem, teologiem i duszpasterzem.

„Tomaszu – zapowiada na wstępie rozmowy ojciec Dostatni – chciałbym porozmawiać o przyszłości *otwartej* formacji katolickiej w Europie i w Polsce. Tej kojarzonej z mocnym ugruntowaniem intelektualnym [...]. Tej, która może czasem jest zagrożona indywidualizmem jako mniej nastawiona na dawanie świadectwa i zdystansowana do wspólnoty. Z drugiej strony: świadoma samej siebie”. „Cieszę się, że będziemy używać tych dwóch pojęć: Kościół otwarty i Kościół ludowy, czy może: tradycyjny” – odpowiada ks. Halik, a mi zapala się w tym momencie czerwona lampka i pytam: Czy to znaczy, że ów wspomniany przez o. Dostatniego, intelektualistyczny, mniej nastawiony na dawanie świadectwa, zdystansowany od wspólnoty, czyli otwarty katolicyzm, jest tym samym, co przeciwstawiony przez ks. Halika ludowemu vel tradycyjnemu Kościołowi, Kościół otwarty? Czy to znaczy, że ów tradycyjny Kościół to właśnie krytykowany przez ks. Bonieckiego, czy o. Ziembę Kościół zamknięty? Moich wątpliwości nie wyjaśnia podane przez ks. Halika ogólne rozumienie tego, kim są otwarci katolicy: To „ludzie – cytuję – którzy rozumieją wiarę przede wszystkim jako drogę [...], gdzie nie chodzi w pierwszym rzędzie o utożsamianie się z instytucją czy nawet o stronę doktrynalną wiary, ale o to, że wiara jest w historii życia

twórcza i zarazem dynamiczna”. Koniec cytatu. Otóż sądzę, że to rozumienie jest tak szerokie, że zmieści się w nim nawet to, co z katolicyzmem nie ma nic wspólnego. Co więcej, moje wątpliwości pogłębiają się jeszcze bardziej, gdy czytam dalej, jak ks. Halik utożsamia katolicyzm ludowy z „przestrzenią tradycyjnych wsi i miasteczek”, dodając również: „Myślę, że w Polsce jest nadzieja, gdyż u was nie są tylko te dwie grupy [...] – folklorystyczna, ludowa pobożność oraz katolicy intelektualiści – ale także znacząca warstwa ludzi wierzących, którzy nie zawsze są intelektualistami, lecz ich wiara nie jest prymitywna”. A ja znów pytam, czy można, przeciwstawiając wciąż niedookreślonymu dla mnie katolicyzmowi otwartemu wiarę tradycyjną, ludową, uznać ją za folklorystyczną i prymitywną? Owszem, nierzadko zdarza się tak, że wiara ludowa, w takim czy innym swoim przejawie, ma charakter tradycjonalistyczny (celowo nie mówię tradycyjny, żeby nie wikłać w to dobrze rozumianej tradycji Kościoła), a nawet momentami trąci kiczem, ale czy można generalnie uznać ją za prymitywną? Mam tu wątpliwości. Im bardziej wczytuję się w proponowane podziały na Kościół otwarty i tradycyjny, tym bardziej uderza mnie ich nietrafność. I mam poczucie, że lina podziału, jeżeli jest, biegnie zupełnie gdzie indziej. Ks. Franciszek Blachnicki mówił swego czasu o Kościele żywym, czyli takim, który w sposób radykalny żyje prawdą o realnej obecności Jezusa w Kościele i w świecie. Niebezpieczeństwo zatory tej prawdy grozi dziś zarówno ludziom miast, jak i wsi, intelektualistom, jak i ludziom prostym. Różnica jest tylko taka, że ci pierwsi uciekają wówczas często w wyestetyzowany intelektualizm, drudzy – w naiwny rytualizm. W efekcie to, co powstaje, ma często, wedle ks. Blachnickiego, niewiele wspólnego z żywym Kościołem. Jak zmienić ten stan rzeczy? Przede wszystkim zacząć od postawienia pytania o to, czym tak naprawdę jest autentyczne chrześcijaństwo. Przynajmniej tyle. Na dobry początek.